

Andrzej Skrendo

Anty-Kołakowski

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (66), 61-68

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Anty-Kołodowski

Leszka Kołodowskiego już mamy i słusznie się nim chlubimy. Posiadamy też zastęp cały jego naśladowców, miłośników oraz komentatorów. Potrzebujemy jednak także Anty-Kołodowskiego. Kultura nasza rozwija się bowiem – o czym wielokrotnie sam Kołodowski wspomina – dzięki obecności i starciu dwóch sprzecznych postaw, między którymi zmuszeni jesteśmy wyborów dokonywać, niestety, nie posiadając reguły wyborami tymi kierującej. Po omacku przeto błędzić musimy i z utęsknieniem wyglądamy przewodnika, który wybierać nam pomoże lub choćby objaśni, między czym a czym w istocie wybieramy. Konieczny jest więc Kołodowski, który roli tej się podejmuje. Anty-Kołodowski również jednak pozostaje niezbędny, po to, byśmy wśród oczywistości się nie zagubili, w samozadowoleniu nie zastęgli, cnotę nieufności wobec podsuwanych nam rozwiązań zachowali. Oznacza to, że nie powinniśmy Anty-Kołodowskiego przeciwstawiać Kołodowskiemu, nie musimy wyrzekać się pierwszego, aby być wiernym drugiemu – lub na odwrót. Nie popadamy w sprzeczność, gdy usiłujemy współlistnienie ich obu pochwalić i podtrzymywać, a w rzeczy samej – kto czyni tak, czyni chwalebnie.

Istnieje tu jednakowoż pewien kłopot. Otóż ostatnimi czasy Kołodowski zdecydowanie przeciw Anty-Kołodowskiemu zaczął występować, prawa do istnienia mu odmawia lub jego obecności natarczywej zaprzecza. Wprawdzie nadal zdarza mu się wypowiedzieć jakąś pod adresem Anty-Kołodowskiego pochwałę, że – na przykład – obecność jego przynosi dobre owoce, lecz z obserwacji sposobu, w jaki wywody swoje prowadzi, wynika, że owoce to zatrute, że Anty-Kołodowski szkodnikiem jest tylko w ogrodzie, który Kołodowski pielęgnuje i z oddaniem chroni. Wrażenie takie towarzyszyło mi nieodparcie, gdym czytał Kołodowskiego *Moje słuszne poglądy na wszystko*¹ i – by rzecz wyznać wprost – to jej lektura sprawiła, iż podejmuję się trudnego zadania obrony Anty-Kołodowskiego. Potrzeba bowiem

^{1/} L. Kołodowski *Moje słuszne poglądy na wszystko*, Kraków 1999.

Roztrząsania i rozbiory

Anty-Kolakowskiemu adwokata, który w imię równowagi racji jego będzie bronić – nawet jeśli miałby to być adwokat samozwańczy, jak to jest w moim wypadku.

Rzecz godna uwagi – Kołakowski opisywaną sytuację widzi zupełnie inaczej. Czuje się osamotniony, a swą nieprzychylność wobec Anty-Kolakowskiego pychą i buńczucznością tego drugiego tłumaczy. Niedwuznacznie sugeruje, że daje się obecnie odczuć nadmiar Anty-Kolakowskich, a ich liczba w dalszym ciągu w zatrważającym tempie rośnie. Nie wiadomo wszakże dokładnie, na czym opiera swe rachunki? Może więc są one przesadzone lub niedokładne? A może wręcz mylne? W rzeczy samej, istnieją powody, by zawartą w tekstach Kołakowskiego wizję Anty-Kołakowskiego i obliczenia mówiące o nadmiernej proliferacji tego drugiego przyjmować z rezerwą. Przepuszczenie, że z hiperbolizacją dokonaną dla celów perswazyjnych mamy tu do czynienia, nie jest bezpodstawne. Wolno podejrzewać, że Anty-Kołakowski powstaje pod piórem samego Kołakowskiego i służy do utwierdzenia się we własnych racjach i przeświadczeniach. Że jest produktem lęku, jaki myśleniem Kołakowskiego jawnie kieruje, a widmo jego (Anty-Kołakowskiego) rośnie wraz z kolejnymi aktami wykluczenia, za pomocą których Kołakowski próbuje ocalić trwałość naszego duchowego dziedzictwa i czystość pewnego humanistycznego przesłania zachować. O przesłaniu tym będzie jeszcze mowa.

Anty-Kołakowskiego zatem Kołakowski powołuje do życia – po to, aby siebie lepiej poznać, osobność swoją utwierdzić, lęki własne uzasadnić, zwolenników i czytelników pozyskać, wytłumaczyć, skąd pochodzą nieszczęścia i kłopoty współczesnej kultury. Nie znaczy to, że lęki Kołakowskiego są urojone. Chodzi tylko o to, aby dostrzec, że w Kołakowskim Anty-Kołakowski siedzi, a z Anty-Kołakowskiego Kołakowski wyłazi. Że Kołakowski od razu wraz ze swoim sobowtórem na świat przychodzi. Anty-Kołakowski Kołakowskiego przedrzeźnia, a Kołakowski Anty-Kołakowskiego prześladuje. Wzajemne uzależnienie obu jest tak wielkie, że momentami już nie wiemy, który z nich jest Kołakowskim, a który Anty-Kołakowskim? Tak jakby zamienili się miejscami. Jakby dawniejszy Anty-Kołakowski dziś w szaty Kołakowskiego się przebrał i Kołakowskiego dawnego eksterminacji poddawał, swoim własnym imieniem – imieniem Anty-Kołakowskiego – nazywając. Jedynie okoliczność, że Anty-Kołakowski nie myśli tak źle o Kołakowskim, jak Kołakowski o Anty-Kołakowskim, pozwala obu ich odróżnić. Zawodna to wszelako miara, bo Anty-Kołakowskiemu głos Kołakowski odbiera i karykaturalną twarz przyprowadza. Anty-Kołakowskiemu milcząca obecność daje jednak o sobie znać, bo Kołakowski karykaturując swego bliźniaka, także i własną twarz zniekształca.

Dawniej Kołakowski wyznawcą filozofii błazna siebie mianował, przeciw kapłanom występował, etykę bez kodeksu głosił, prawa do niekonsekwencji bronił, niepewnością się cieszył i ją afirmował, ze współczesną filozofią dyskutował i szukał w niej natchnienia. Dziś do kapłanów przystąpił, apologię norm wygłasza, chroni kategorię tabu, konsekwencji się domaga i przed trybunałem odpowiedzialności za kulturę każdy nasz uczynek stawia, swe wątpliwe nie przeciw pewnikom, lecz przeciw duchowi wątpliwa obraca, nie upomina się o nieoczywistości, lecz zdrowego rozsądku przed filozoficzną podejrzliwością broni, od współczesnej

Skrendo Anty-Kołodkowski

filozofii ostentacyjnie się odsuwa i o swej niezgodzie nie poprzez dyskusję, lecz drwinę lub szyderstwo powiadamia. Dawniej przeciw komunistycznemu barbarzyństwu się zwracał, dziś za coś gorszego od komunizmu uznaje liberalną cywilizację. Jak powiada w eseju *Rozpad komunizmu jako wydarzenie filozoficzne*, duch liberalizmu skuteczniej niż komunizm niszczy *sacrum* i podkopuje fundamenty kultury.

Kogo wszelako bronimy, gdy w imieniu Anty-Kołodkowskiego występujemy? Czyż nie jest prawdą, że oblicze jego przerazić może najbardziej doświadczonego adwokata? Czyż nie jest słuszna obawa, że wiarę w jego domniemaną niewinność najbardziej wytrwały i oddany obrońca stracić może, gdy z bliska Anty-Kołodkowskiego obejrzy? A z drugiej strony – któż oprzeć się zdoła jego przemożnej uwodzicielskiej sile? Anty-Kołodkowski to bowiem przebiegłe monstrum, uwodziciel i oszust, mistrz kamuflażu o stu twarzach, osobnik o większej niż kameleon zdolności zmiany skóry, wilk za baranka przebrany, kret ryjący pod fundamentami. Kto prawdę o nim odkryje i się nie ulęknie, ten Kołodkowskiemu przyzna rację i zrozumie, jak wielkie brzemię na siebie Kołodkowski bierze, gdy w procesie przeciw Anty-Kołodkowskiemu jednocześnie jako prokurator i jako sędzia występuje.

Anty-Kołodkowski odpowiada za największe osiągnięcia i największe klęski Oświecenia. Niegdyś był może potrzebny, dziś tylko przeszkadza – dawny sprzymierzeniec, kiedyś sojusznik, dziś wróg i przeciwnik. Przyczynił się wprawdzie do rozwoju wiedzy, nauki oraz cywilizacji, bo głosił konieczność emancypacji od prawd objawienia. Teraz jednak przetrwanie ludzkości zależy od tego, czy zdołamy uchronić dziedzinę *sacrum* i wzniosłe religijne tradycje przed zarazą nihilizmu – a tego Anty-Kołodkowski ani pojąć nie umie, ani pomóc w dziele tym nie potrafi. Anty-Kołodkowski to założyciel naszej liberalnej i permissywnej kultury, a zarazem jej wytwór; produkt jej rozpacz i jednocześnie samozadowolenia; filozof, który za pomocą filozoficznych narzędzi nie tylko dotychczasową filozofię niszczy (nie proponując niczego w zamian), lecz samą potrzebę filozoficznych poszukiwań usiłuje z nas wykorzeńić, a zatem chce nas okaleczyć i najcenniejszej części naszego człowieczeństwa pozbawić. Religijny fundamentalista i ateista, relatywista i nihilista, marksista i nietzscheanista, wróg w sprzeczności nas wpędzający i zarazem sprzeczności tych wytwór, najwyższy produkt nowoczesnej kultury i zupełny barbarzyńca. Francuski modniś, amerykański lekkoduch, zadufany w sobie niemiecki mędrak. Zobojetniały bluźnierca, przesycony hedonista, znudzony eksperymentator. Odpowiada za rewolucję październikową i rewolucyjną farsę końca lat sześćdziesiątych, komunizm i nazizm, Gułag i obozy zagłady. Jak Nietzsche w imię *Unschuld des Werdens* i Marks w imię wiary w to, że posiada metodę wydobywania z nas esencji człowieczeństwa, przyzwala na najpotworniejsze zbrodnie. Jak Freud uważa, że kultura jest źródłem cierpienia i człowieczeństwo nasze nie tyle stwarza, ile krępuje. Jak Rorty – nie czyni różnicy między dietą jarosza i kanibala. Broni wielkodusznego poglądu o równości wszystkich kultur, a tym samym barbarzyństwo innych akceptuje oraz obojętność swoją uświęca. Oceny moralne od przygodnych czynników historycznych i kulturowych uzależnia. Pochwala zgubne zamięślenie

Roztrząsania i rozbiory

do buntu, kultywuje anarchistyczne marzenia o wyzwoleniu z norm i przyszłe nadejście tyranii w ten sposób przygotowuje. Pozbawia nas broni przeciw okrucieństwu, prześladowaniom, uciskowi i totalitaryzmom. Wyobraża sobie, że jedyne lekarstwo na fundamentalizm stanowi nihilizm.

W najgorszym i najbardziej niebezpiecznym swoim wcieleniu Anty-Kołąkowski nie jest wszelako barbarzyńcą, lecz kimś pozbawionym pamięci, niepomnym bogactwa rodzimej kultury, niepewnym własnej tożsamości, pozostawionym bez wsparcia w moralnej pustce, niezdolnym do bronięcia jakichkolwiek wartości, głęboko nieszczęśliwym i w rozpacz swej zobojeźniałym, własną pustkę za pomocą hedonizmu i konsumpcjonizmu zapełniającym. Jeśli taki typ ludzki upowoszechni się na wszystkich obszarach europejskiej cywilizacji, która przecież z powodzeniem glob cały ogarnęła, dalsze trwanie ludzkości stanie pod znakiem zapytania.

Jak mamy bronić się przed takim niebezpieczeństwem? Kołąkowski nie przedstawia bezpośrednich odpowiedzi, nie poucza wprost, jak chronić wartości, stara się jednak dawać dobry przykład, który powinien być naśladowany, wyraziście też rysuje obraz filozofa, który w imieniu wartości występuje. Obraz ten jest zarazem jego własną autokreacją. Filozof taki zajmuje się leczeniem i profilaktyką chorób kultury. Wyniki swoich badań przedstawia nie tylko fachowcom, używając zawodowej swej nomenklatury, ale także szczepionki ochronne dla ludności opracowuje – w formie esejów. Nie ma nadziei odkryć lekarstwa na wszelkie nieszczęścia, przeciwnie – obiecuje, że nigdy go nie znajdzie i nakazuje nam odwracać się od lekarzy, którzy podobne obietnice składają. Delikatny i zdecydowany, ufny i podejrzliwy, uparty i pełen niepewności, nieustępliwy, lecz przezorny, krytyczny – ale także wobec samej postawy krytyka. Wyczulony szczególnie na sprzeczności i aporie tkwiące głęboko w samej materii życia, za zadanie swoje uważa uświadamianie i ostrzeganie przed niebezpieczeństwami, które czyhają na każdego: i na tego, który postęp chwali, i na tego, który ku przeszłości się zwraca; i na tego, który w utopię wierzy, i na tego, który utopijnych nadziei całkiem się wyżył; i na tego, który ufa nauce i za wzór racjonalności ją uważa, i na tego, który śni o lepszej nauce i innej, wyższej racjonalności, jaką osiąga się przez porzucenie „zwykłej” racjonalności i „zwykłej” logiki. Wszystkie to są, oczywiście, przykładowo wybrane alternatywy, które Kołąkowski czyni przedmiotem swej uwagi.

Filozof musi mieć odwagę, by upominać się o zapomniane prawdy, niepopularne idee, niemodne dystynkcje. Do istoty jego powołania należy pewien dystans wobec tego, co wydaje się jego współczesnym oczywiste i nieodparte. Z ostentacją odwraca się od współczesnej filozofii i ku ponadczasowym dziełom Platona, Kartezjusza, Pascala, Leibniza, Bergsona i Husserla się kieruje. Najwyższy szacunek żywi wobec Kanta. Rygoryzm moralny, nauka o obowiązkach, obrona człowieczeństwa jako kategorii moralnej i niewymiennej, zasady transcendentalnej racjonalności, krytyka błędu antropologicznego, idea sądów syntetycznych *a priori* – wszystko to są własne Kołąkowskiego przekonania, których poprzez odwołanie do języka Kantowskiego broni lub po prostu u Kanta znajduje. To jest owa dobra i nie-

skazona tradycja Oświecenia, do jakiej ktoś, komu przydarzyło się być filozofem, zobowiązany jest nawiązywać.

Kantowi zawdzięczamy najlepszą próbę ufundowania kultury i moralności na fundamencie rozumu, nie zaś wiary. Kant wszelako mylił się, mniemając, że jego przedsięwzięcie może się powieść. Najwyższe i najważniejsze wartości znajdują bowiem ostatecznie swoje uprawomocnienie w sferze *sacrum*, a więc sytuują się poza zasięgiem filozoficznej argumentacji. Od obrony postaci Jezusa Chrystusa (połowa lat sześćdziesiątych) doszedł Kołodkowski do obrony Kościoła. Dawniej podejrzewał, że orędzie Chrystusa przechowało się poza Kościołem lub w pozostałych na skraju herezji grupach, dziś Kościół uważa za wzór wszelkiej tożsamości. W *Amatorskim kazaniu o wartościach chrześcijańskich* opinię każącą potępiać stopy uznaje za pozorną oczywistość, której ufać nie warto. W stosach, powiada, trzeba też widzieć wyraz prawdziwej troski o zbawienie duszy.

Kościół zapewnia ciągłość kultury, strzeże dziedziny *sacrum*, z której cywilizacja musi nieustannie czerpać, aby nie poddać się nihilizmowi. Poczucie tabu, zdolność do odczuwania wyrzutów sumienia, hierarchiczność, wychowanie oparte na autorytecie, wzniosłe obrzędy, poczucie uczestnictwa w sferze bezwarunkowej i wiecznej – to wszystko tylko religia dać może, która jednak poza Kościołem traci swą moc i życiodajną siłę. Do ulubionych zajęć filozofa, jakiego obraz maluje Kołodkowski, należy więc przechadzanie się w chłodnym cieniu świątyń. Choć nie umie się on modlić, wierzy, że w nabożnym skupieniu jest ta sama treść zawarta, co w modlitwie, i że ono także stanowić może kontemplację czystego dobra. Przeraża go – i jeśli coś go prawdziwie przeraża, to właśnie to – że świątynie puste się stają, że porzuca je lud a nawet sami kapłani, którzy na służbę demonów nowoczesności przechodzą.

Z wszystkiego, co zostało tu powiedziane, zdaje się wynikać, że Kołodkowskiego od Anty-Kołodkowskiego dzieli przepaść i że przepaść ta nie może zostać pokonana. Kołodkowski broni kultury, Anty-Kołodkowski ją rujnuje. Kołodkowski przyjmuje niewdzięczną rolę kogoś, kto o niebezpieczeństwach odważa się mówić i po ojcowsku nas karci. Podziwa mądrość wielkiego, żelaznego papieża Innocentego III, który napisał dziełko *O nędzy doli człowieczej*, i ubolewa, że Kościół nie ma dziś dość odwagi, by nieustannie nędzę ową głosić. Inaczej Anty-Kołodkowski – ten nie tylko słabościom naszym pochlebia, aby potem je wykorzystywać; nie tylko dowodzi, że natura ludzka jest doskonale plastyczna lub zgoła nie istnieje i nie ma więc niczego, co byłoby bezwarunkowo zabronione. On przede wszystkim pozwala nam myśleć, że dobrze jest występować przeciw niezmiennemu odróżnianiu dobra od zła. Mówiąc tak, popada wprawdzie w tym samym momencie w sprzeczność, kwestionuje bowiem rozróżnienie, z którego korzysta w akcie kwestionowania (że dobrze jest robić to czy owo, myśleć tak lub owak). Zarazem jednak doskonale wie, co robi, kto bowiem powiada: „Dobrze jest odrzucać wiarę w niezmienną treść kategorii dobra i zła”, nie mówi wcale tego, co zdaje się mówić – mianowicie, nie daje nam prawa do dowolnego stanowienia tych kategorii, lecz sam chce je na nowo ustanowić i innym narzucić.

Roztrząsania i rozbiory

Błędem byłoby jednak mniemanie, że relacja między Kołakowskim a Anty-Kołakowskim da się uchwycić poprzez sformułowanie prostej opozycji. Rzecz tak wygląda wedle autointerpretacji samego Kołakowskiego: Kołakowski naraża się na na (głupie) zarzuty, że świata nie zna i broni przestrzalych idei, Anty-Kołakowski sprzyja wszelkim modom, sieje zamęt i niepewność. Pierwszy wybiera drogę najtrudniejszą, drugi – najłatwiejszą. W istocie jednak obaj oni nie stoją naprzeciwko siebie, tak jak obrońca i agresor, władca i buntownik. Im dalej Kołakowski Anty-Kołakowskiego odsuwa, tym ten jest bliżej. Im radykalniej przed Anty-Kołakowskim się broni, tym bardziej go przypomina.

Jest bowiem tak, że Kołakowskim powoduje lęk o trwałość kultury i niezakłócony proces dziedziczenia wartości. Do kultury tej należą jednak również i ci, którzy proces takiego przekazywania utrudniają lub zmieniają jego logikę. Kołakowski musi ich odciąć od zdrowego pnia i dlatego w swojej najnowszej książce stwierdza – na przykład – że na gruncie filozofii Nietzschego znajdujemy zachęty do ludobójstwa, rzezi pokonanych oraz budowy obozów zagłady. Rzecz jasna trudno uważać taką uznać za rodzaj „krytyki”, jest to raczej dyskredytacja, która ma wykluczyć nietzscheanizm i jego licznych spadkobierców z filozoficznej debaty. Tożsamość kultury określa więc Kołakowski na sposób restrykcyjny, poprzez serie wykluczeń, które obejmują zwłaszcza ogromne obszary kultury współczesnej, zwane postmodernizmem, poststrukturalizmem, dekonstrukcjonizmem, neopragmatyzmem. Z nurtami tymi Kołakowski zwykle nie podejmuje dyskusji, o swojej ocenie daje znać za pomocą ironii, szyderstwa oraz znaczących przemilczeń. Napisze absurdalną, dekonstrukcjonistyczną (wedle jego własnego określenia) *Wielką encyklopedię filozofii i nauk politycznych*, w której definiuje między innymi poststrukturalizm, powiadając: „Nie wiem, co to jest”. W książce o Pascalu (*Bóg nam nic nie jest dłużny...*) gdzieś głęboko w przypisie (146., do jej pierwszej części) wspomni z odrazą o „p. Jacquesie Derridzie”. W eseju *Cywilizacja na ławie oskarżonych* ze swadą zauważy, że nie wie, czym jest postnowoczesność, czym różni się od przednowoczesności, czy po niej przyjdzie post-post-nowoczesność, neo-post-nowoczesność czy może neo-anty-nowoczesność. Wszystkiego tego nie wie i nie ma wrażenia, że wiedzieć powinien. Wszystko to są bowiem – jak wolno się domyślać – owoce owej gorszej od komunizmu cywilizacji liberalnej, która produkuje odpowiednie mody filozoficzne i rozmyte pojęcia, aby „wyzwolić” nas od obowiązków i odpowiedzialności; „wyzwolić” – czyli uczynić barbarzyńcami.

Stanowiskom niezgodnym z własnymi poglądami Kołakowski często odmawia prawa do nazywania siebie „stanowiskiem”, a swoich poglądów również mianem stanowiska nie nazywa. W efekcie, z nowszych pism jego, a zwłaszcza z esejów, wyłania się nie tyle wizerunek starcia różnych tendencji kulturowych, ile obraz walki kultury z antykulturą. Często można odnieść wrażenie, że to nie Kołakowski mówi, gdy otwiera usta, lecz sama kultura przemawia przez niego i woła o pomoc. Kołakowski upodobał sobie taką rolę – Anty-Kołakowski zaciera z radością dłońie i nazywa rolę tę uzurpacją. Kołakowski uważa, czego dowiadujemy się z eseju *Normy-nakazy i normy-twierdzenia*, że istotą człowieczeństwa jest przestrzeganie zasad,

które obliguj nas uniwersalnie, nie przez nas zostały ustanowione, nie poddaj się naszej manipulacji i s zawsze wobec naszych postanowień uprzednie. Myśl, że normy te należą przekraczać, nie zaś troszczyć się o ich istnienie, to głupie anarchistyczne marzenie, które należą rozumieć jako propozycję cofnięcia nas do stanu przedludzkiego. Anty-Kołodkowski czytając to, pęka z zadowolenia. Jakże cieszy go sposób, w jaki Kołodkowski uniemożliwia dyskusję, jego głęboko konserwatywne i podszyte lękiem przeświadczenia, które posiadać mają – jak upiera się Kołodkowski – bezwarunkow prawdziwość. Jakże to w duchu Anty-Kołodkowskiego: powieździeć, że rację ma Kant i sam Kołodkowski, zaś ci, którzy wraz z Bachtinem i Bataille'em sdzą, że raczej przekraczanie norm jest wyrazem człowieczeństwa, niź ich wypełnianie, ulegaj dzieciennym mrzonkom, chc zamienić nas w barbarzyńców i w zwizku z tym nie mieszcz się w standardach kulturalnej dysputy. W końcu – jakże wielk satysfakcję odczuwa Anty-Kołodkowski, gdy jego adwersarz porzuca głoszony przez siebie dawniej (w *Etyce bez kodeksu*) sytuacjonizm moralny, gdy dowodzi, że poczucie powinności musi być dedukowane z bezwarunkowej normy, gdy juź nie ufa naszej indywidualnej wrażliwości moralnej i podporządkowuje j zawsze uprzedniemu wzorcowi człowieczeństwa. A jednocześnie – normatywnie! – przyjmuje, że zawsze jesteśmy posłuszni normom, choć nie potrafi objaśnić, co mianowicie miałyby to znaczyć – sugeruje tylko, że należą przestrzegać dziesięciu przykazań i nie pytać, dlaczego. Najbardziej jednak zdumiewa Anty-Kołodkowskiego owa zawrotna logika, która ujawnia się w myśleniu Kołodkowskiego: gdy się wie, że jeśli coś nie jest bezwarunkowo zabronione, jest dozwolone, to wie się zarazem, że kto myśli inaczej, nie tylko złudzeniu ulega, ale działa *mala fide*.

Anty-Kołodkowski potrafi zatem wskazać podobieństwa między swoj postaw a postaw Kołodkowskiego. Pokazuje, że oskarżenia, pod jego adresem kierowane, pozwalaj się odwrócić. Może to jednak uczynić nie tylko i nie przede wszystkim dlatego, że Kołodkowski, rysuj obraz Anty-Kołodkowskiego, daje karykaturę swej własnej twarzy, ale z tego powodu, że – najprościej mówiąc – nie taki straszny Anty-Kołodkowski, jak go maluj! Łatwo zauważyć, że na jego obraz złożyły się określenia wzajem sprzeczne i trudne do uzgodnienia. Jego pozorna wszechobecność wynika nie z doskonałości, lecz przeciwnie – std, że nie sposób ustalić jego rysopisu. Anty-Kołodkowski to wytwór lęku Kołodkowskiego i jego twardych założeń dotyczących powstawania – by tak rzec – nieteoretycznych konsekwencji działalności filozoficznej. Przyjmuje on mianowicie, że każd ideę stawiać trzeba przed trybunałem odpowiedzialności za dalszy rozwój kultury i pytać o jej potencjalne niebezpieczne konsekwencje. Zakłada, że myśl filozoficzna wyrasta na określonym gruncie kulturalnym i za każdym razem musi się wytłumaczyć, w jaki sposób grunt ten chce wzbogacić. Jeśli wytłumaczyć tego nie potrafi, nie zasługuje na istnienie, bo filozofia nie jest zabaw ani terenem eksperymentów, lecz walk o przetrwanie kultury, która znalazła się dziś w niebywałym zagrożeniu. Otóż ocena skali tego zagrożenia, przeświadczenie, że filozofia musi przygotowywać nas do opierania się złu i że to zmaganie stanowi istotę egzystencji, że nigdy nie wolno zawieszać pytania o moralne i polityczne konsekwencje filozofowania i że potrafimy zadowa-

Roztrząsania i rozbiory

lająco je uchwycić – wszystko to są przeświadczenia niedowodliwe. Kołakowski wierzy, że natura ludzka jest nieodwracalnie skażona złem, ale chce jednak jakoś obronić naszą zdolność do czynienia dobra. Z przerażeniem mówi o przygodności odróżnienia między dobrem a złem, lecz aby to uczynić, musi już wcześniej założyć istnienie absolutu. Faktu, że w pojęciu przygodności zawarte jest już pojęcie absolutu i że, wychodząc od jednego, zawsze dochodzimy do drugiego, nie uważa za tautologiczną konsekwencję języka, lecz za prawdę, którą odkrywamy w doświadczeniu naszej egzystencjalnej kruchości. Alternatywą naszą jest: albo Bóg, albo nihilizm i każdy musi jasno zadeklarować, co wybiera.

Nie trzeba szczególnej wyobraźni, by zdać sobie sprawę, że w obliczu takiej nieufności i rygoryzmu niewiele idei może się ostać; z tych nowoczesnych, postmodernistycznych, neonietzscheańskich, poststrukturalnych, feministycznych – bodaj żadna. Współczesność w ogromnej mierze pada łupem Anty-Kołakowskiego, a w istocie przecież – zostaje mu najpierw oddana we władanie, a potem jest z mierzonym skutkiem odyskiwana. Podkreślmy na koniec: zagrożenia, o których mówi Kołakowski, są realne, lecz zapewne przesadzone. Widać, że postać Anty-Kołakowskiego, gdy się jej przyjrzeć, jest mało wyrazista, nie tłumaczy się sama przez się, lecz zawsze musi być odnoszona do metafizycznych założeń filozofii Kołakowskiego. Niewielką ma więc zdolność objaśniania sytuacji współczesnego świata, ale być może nieźle objaśnia sytuację autora *Obecności mitu*. Trzeba się do niej przyznawać w obliczu groźby, że ceną za odnalezienie czystego dziedzictwa naszej kultury stanie się odrzucenie współczesności.

Andrzej SKRENDO